

JOANNA MIŁOSZ-PIEKARSKA

Wszystkie czasy przeszłe

 Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Warszawa 2022

Reżimowa owsianka

Nie pamiętam wiele z rozvodu rodziców w 1959 roku. Najwyraźniej starano się, bym widziała i wiedziała jak najmniej. Któregoś dnia zniknął pies. To był początek wielkich zmian w moim życiu. Sprzedany został samochód i tata kupił sobie skuter. Na tym właśnie skuterze któregoś dnia zostałam odwieziona do Sióstr Urszulanek w Chylicach pod Warszawą. Miałam siedem lat.

Pamiętam natomiast dokładnie, jak siedzę wczepiona w plecy taty i ryczę całą drogę. Nie wiem, jak w komunistycznej Polsce uchowały się internaty prowadzone przez siostry zakonne, ale istniało ich kilkanaście. W Chylicach siostry prowadziły internat dla dziewczynek ze szkoły podstawowej, a w Szymanowie z liceum. Przyjechaliśmy pod wieczór, tata szybko mnie pożegnał i nagle zostałam sama w dziwnym, obcym miejscu. Siostra zaprowadziła mnie na salę, pokazała, gdzie jest moje łóżeczko i kazała pójść spać. Oczywiście ryczałam dalej, na co po chwili wpadła na salę któraś z sióstr i krzykiem kazała mi być cicho.

Nie wspominam tego pobytu zbyt dobrze. Z wyjątkiem jednej siostry Marii, która prowadziła ogród, wszystkie raczej były niemiłe,

krzykliwe i z sadystycznymi tendencjami. Siostra Maria była moją ucieczką od tej internatowej rzeczywistości. Często pozwalała mi siedzieć u niej w ogródku, gdzie pieliałam grządki, karmiłam i głaskałam kury, ale głównie łąziłam za nią, zadając masę pytań, na które ona cierpliwie i z uśmiechem odpowiadała. Była mi całą zastępczą rodziną w jednej drobnej osobie.

Jestem jej wdzięczna za okazane serce, bo tego na pewno było w internacie za mało. Dużo natomiast było szarpania za uszy, walenia linijką po łapach, klęczenia w kącie na grochu z rękoma w górze, w sieni, tak by inne dziewczynki widziały, jaka kara może i je spotkać. Z dodatkowych atrakcji pamiętam budzenie nas w środku nocy i pędzenie do kaplicy w nocnych koszulach w celu modlitwy.

Reżim był ostry. Rano wpadała na zbiorową salę siostra dyżurna i, zapalając światło, wrzeszczała: „Niech będzie pochwalony”, a my musiałyśmy od razu, na komendę, ukłęknać na łózkach i odpowiedzieć zgodnym chórem „na wieki wieków”. I pędem do łazienki. Mycie chyba było niezbyt dokładne, bo w chwilę potem trzeba było porządnie zasłać łóżeczko, ubrać się i uczesać i po schodach w dół do sali jadalnej na śniadanie. Tam znowu modlitwa i jakiś kleik serwowany z ogromnego gara. Dwie siostry niosły gar, a trzecia łychę chlapała z niego na talerze. Nienawidzę kleików i nawet najbardziej smakowite australijskie *porridge* (owsianka) odbija mi się wspomnieniem tamtych śniadań. Inne posiłki, którymi nas karmiono, też kojarzą mi się z tym wielkim garem i siostrą z łychę. Prosto z Dickensa. Potwornie tęskniłam za babcią i jej zupą ogórkową, już nie mówiąc o czekoladowych babeczkach i serdecznej atmosferze przy domowym stole. Oczywiście nie było mowy o jakimkolwiek marudzeniu na temat serwowanych dań, bo można było wtedy zostać wyprowadzonym za ucho z jadalni. Te

nieszczęsne uszy miałam miesiącami naderwane, więc widocznie nie byłam wystarczająco grzeczna.

Pamiętam, że kiedyś wymyśliłam świetną zabawę. Ściągnęłyśmy materace z łóżek i zjeżdżałyśmy na nich ze schodów jak na sankach. O rany, co tam się działo! Siostra dyżurna dostała szalu, fruwałyśmy za te uszy, a potem ja i druga równie pomysłowa dziewczynka klęczałyśmy w sieni przez ileś godzin na woreczkach wypełnionych grochem, z rękoma do góry, tak by siać postrach wśród innych potencjalnych rebeliantek.

Do szkoły chodziłyśmy razem z miejscowymi dziećmi. Lubiłam tę drogę, szeroką i piaszczystą. Była to chwila ucieczki od musztry w internacie.

Tu w Chylicach przygotowywałam się do pierwszej komunii i oczywiście pierwszej spowiedzi. Straszny miałam z tym kłopot, bo trzeba było wymyślić jakieś grzechy, by ksiądz Bajko był odpowiednio zadowolony. Przebijałyśmy się pomysłami i podejrzewam, że ksiądz Bajko musiał się niezłe zdziwić, ileż zła udało się nam dokonać w tak młodym wieku.

Wiedziałyśmy, że listy pisane do rodziny są czytane przez siostry, naturalnie więc panowała autocenzura. Robiąc jakieś porządki w pudłach sprzed lat, znalazłam jeden, pisany do mamy, kiedy leżałam chora na ospę wietrzną. Narysowałam serce w czerwone kropki i napisałam, że jestem chora i że nawet moje serce jest w krostach.

Fajnie było chorować. Mogłyśmy wtedy nadal smacznie spać, gdy w pokoju obok brzmiało surowe poranne „niech będzie pochwalony” i dudnił pęd nóg na korytarzu.

Rodziny odwiedzały nas nie za często. Myślę, że nie było to wskazane, bo po każdym dniu wizyt dziewczynki były zasmarkane od łez oraz chorowały na brzuchy od pożartych w pośpiechu słodyczy.

Całe nasze rodziny natomiast hucznie zjechały się na pierwszą komunię. Dostałyśmy przydzielone identyczne sukienki i wianuszki. Panowała nadzwyczaj odświętna atmosfera, wszyscy rozpływali się w uśmiechach i przez tych kilka godzin byliśmy wybitnie przejęte naszą wyjątkowością. Były fotografie, pochwały, achy i ochy, po czym zdjęto z nas komunijne sukienki i wszystko wróciło do swojej mało radosnej rzeczywistości.

Uratowały mnie komunistyczne władze, bo po dwóch latach od mojego zesłania, w sierpniu 1961 roku, zamknęły bursę i mama musiała mnie zabrać do siebie do kawalerki w Warszawie, mieszczącej się w słynnym Domu Wedla, przy ulicy Puławskiej 28, na rogu z Madalińskiego. Zamieszkałam za kotarą, w drugiej części pokoju, w korytarzu była kuchenka w szafie wnękowej. Gotowania w domu nie było za dużo, więc nie stanowiło to problemu. Rano mama pędziła do pracy w ambasadzie amerykańskiej, a ja do Szkoły Podstawowej nr 85 imienia Benito Juareza, na ulicę Narbutta. Obiady jadałam w szkolnej stołówce. Bardzo mi smakowały, bo były zupełnie inne niż te, które robiła moja mama czy babcia.

W szkole zaprzyjaźniłam się z dwiema dziewczynkami z domu dziecka: Iwoną i Dziką. Były trochę zasmarkane i brudne, a mnie się wydawało, że im pomogę, zabierając je na Puławską i proponując, że mogą się wykąpać. No i wykąpały się, jak również ukradły mojej mamie korale i jej ukochaną bransoletkę. Ta próba przyjaźni skończyła się dosyć szybko. Szkolni koledzy mieli trudności z zaakceptowaniem mnie: pojawiałam się w czwartej klasie jako ta „nowa”, w fartuszkach z falbankami, a po dwóch latach internatowego życia moje zdolności interpersonalne były dosyć ograniczone. Nieśmiałość pomieszana z dumą, a do tego z krnąbrnym i buntowniczym nastawieniem do świata, na pewno nie pomagały mi w zawarciu bliższych znajomości z innymi dziećmi. Na szczęście pojawiła się

w moim życiu Ula. Początkowo nie wykazywałam zainteresowania, bo była bardzo dobrą uczennicą i ulubienicą nauczycielki, co w moich oczach rebelianta całkowicie ją skreślało, ale jednocześnie była rezolutna i ogólnie lubiana, czym mi bardzo imponowała. Dzięki niej miałam szansę dostania się do grupy rządzącej klasą. Jako przyjaciółka Uli nareszcie zostałam zaakceptowana.

I tak stałyśmy się najbliższymi „psiapsiółkami”, mówiono o nas „duża Ula z małą Joasią”. Kochałam odwiedzać jej dom rodzinny, a w nim siostrę, dwóch braci, tatę i mamę gotująca porządne, prawdziwe domowe obiady. Nie byli zbyt dobrze sytuowani, a ja objadałam ich regularnie. Do tej pory pamiętam smakowite zupy mamy Uli i grube pajdy świeżego chleba z masłem.

Przyjaźń z Ulką przetrwała prawie pięćdziesiąt lat, do dzisiaj, ale to już oddzielny rozdział.

Wodzowie i czarownicy

Po powrocie z Chylic do Warszawy trudno mi się było zaaklimatyzować. Dwa lata w internacie u sióstr i przeprowadzka z Armii Ludowej na Puławską sprawiły, że byłam trochę w tyle jeżeli chodzi o kontakty towarzyskie. Dzięki nowo poznanej Uli jakoś udało mi się wślizgnąć w grupę dziewczynek, ale nie mogłam się połączyć w stopniach ważności. Istniało niepisane prawo, że gdy rozmawiasz z jedną, to druga się obraża, ilość czasu spędzana z poszczególnymi koleżankami podlegała kontroli i też mogła skończyć się źle, to znaczy wykluczeniem przez inne. Obgadywanie było dozwolone, ale należało się dobrze orientować, kogo przed kim można, a kiedy jest to surowo karane przewinienie.

Nastąpiła intensywna nauka lawirowania i manipulacji, niestety czasami wracającej rykoszetem. Z tej grupy przetrwała jedynie przyjaźń z Ulką. Aż do ostatniej klasy, kiedy po powrocie z wakacji okazało się, że jestem o głowę od niej wyższa. Byłyśmy skrajnie różne: ja jakaś taka niezdarna, chuda, obcięta na krótko, z perkatym nosem, trochę dzikus i odludek, i śliczna Ula, o brzoskwiniowej cerze, z dołeczkami w policzkach, lśniących czarnych

włosach, wiecznie roześmiana i zawsze otoczona ludźmi. Byłam w nią wpatrzona, też chciałam być adorowana przez wszystkich. Nie wspominałam już nawet o chłopcach, którzy na mnie w ogóle nie zwracali uwagi.

Nasze drogi trochę się rozeszły, gdy zdałam do ogólniaka, a Ula poszła do Technikum Terenów Zielonych, ale nadrabiałymy to po szkole. Często spotykając się albo u jednej albo u drugiej w domu, a potem odprowadzając się po ulicy Puławskiej w tę i z powrotem, czasami do późnego wieczoru. Kręcili się co prawda na tej ulicy i w bramach miejscowi żule, ale czułyśmy się bezpiecznie, bo byli to nasi koledzy z podstawowej ławy szkolnej.

Do ogólniaka zdałam nie wiem jakim cudem. Należałam do tej niechlubnej kategorii zdolnych, ale leniwych, a nauka nie była moim ulubionym zajęciem. Na dodatek, idąc na egzamin, zakupiłam kilo czereśni, które, niemyte zresztą, wpałaszowałam zanim usiadłam w ławce. Rewolucja w brzuchu była tak straszna, że do dzisiaj ją pamiętam. Nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko żeby jak najszybciej pomknąć do toalety. Jakimś cudem jednak zdałam. W roku 1965 zostałam uczennicą Liceum Ogólnokształcącego nr XLII im. Marii Konopnickiej przy ulicy Madalińskiego 22. Mając niejasne raczej plany, że pójdę potem na studia prawnicze, wybrałam klasę z językiem łańskim. Rosyjski był oczywiście obowiązkowy, ale w ramach rebelii wszyscy staraliśmy się uczyć go jak najmniej. Po latach, podróżując po Rosji, żałowałam swojej głupoty.

W Domu Wedla, kilka pięter nad nami, mieszkali państwo Wojtyna, rodzice Zosi Raczkowskiej, zapalanej koniary, z którą zaprzyjaźniła się moja mama. Spotkały się chyba w Narciarskim Klubie Dziennikarzy „Kaczka” i szybko dogadały się, że mają córki w tym samym wieku, a na dodatek Zosia często bywała u rodziców na Puławskiej. I tak, jeszcze w szkole podstawowej, poznałam Gośkę